

Józef Dobski, Andrzej Rembalski

Józef Dobski, Pamiętnik z 1939 roku

Studia Muzealno-Historyczne 5, 249-266

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Józef Dobski, Pamiętnik z 1939 roku

Załączony pamiętnik obejmuje moje wspomnienia jako podporucznika rezerwy w okresie sierpnia i września 1939 r.

Najważniejszym dla mnie przeżyciem była ucieczka z niewoli sowieckiej, dzięki której nie zostałem zamordowany w Katyniu. O zbrodni katyńskiej dowiedziałem się z prasy okupacyjnej, wydawanej w języku polskim przez „Kurier Kielecki” i „Kurier Częstochowski”, w których Niemcy od kwietnia do lipca 1943 r. podawali listy pomordowanych polskich oficerów zabranych do niewoli przez Armię Bolszewicką we wrześniu 1939 r. Na liście oficerów zamordowanych w Katyniu znalazłem nazwiska kolegów wieszonych transportem kolejowym na Wschód, z którymi przebywałem razem w przedziale wagonu osobowego.

Nadszedł rok 1939, rok historycznych wydarzeń w szczególności dla Polski, który stał się początkiem wybuchu drugiej wojny światowej. W dalszym ciągu pracowałem w Izbie Skarbowej w biurze Rzecznika Dyscyplinarnego w Kielcach i społecznie w charakterze sekretarza Zarządu Okręgu Związku Harcerstwa Polskiego. W rozmowach z kolegami stałym tematem była sytuacja polityczna Polski. Społeczeństwo polskie zachowało spokój, wierząc, że Niemcy nie odważą się napaść na Polskę, ponieważ zostały już zawarte układy z Francją i Anglią o wzajemnej pomocy w wypadku naruszenia granic polskich przez Rzeszę Niemiecką. Późniejsze żądania Hitlera oddania Gdańska i połączenia Prus Wschodnich z Niemcami zostały przez Polskę odrzucone. W całym kraju przystąpiono do intensywnych ćwiczeń w ramach Ligi Obrony Powietrznej Państwa (LOPP). Ukazały się rozkazy Głównej Kwatery Męskiej ZHP o powołaniu Pogotowia Harcerskiego w Polsce. Komisarzem Pogotowia Harcerskiego w Kielcach został mianowany hm. Edmund Massalski, długoletni komendant Chorągwi Kieleckiej, a na jego zastępcę wyznaczono moją osobę.

Opracowaliśmy z druhem Edmundem system alarmowy zbiórek drużyn kieleckich do służby pomocniczej w urzędach państwowych i komunalnych w charakterze gońców i dyżurujących przy telefonach, oraz uzgodniliśmy ścisłą współpracę z PCK, którego inspektorem był hm. Edward Meissner wraz ze współpracownikami phm. Ryszardem Ungrem i hm. Stefanem Krzemińskim.



Fotokopia zdjęcia wykonanego w dniu 28 sierpnia 1939 r. po odbytej ceremonii ślubnej, na którą otrzymałem kilka godzin urlopu. *Drogiemu Andrzejowi na pamiątkę Józef Dobski „Maryśka”*

Mimo pięknego lata jakiś dziwny smutek i melancholia opanowały nas młodych ludzi, śpiewano tęskne melodie, modne romantyczne wówczas tanga, jak „Ta ostatnia niedziela”, „Jesiennie róże” i inne¹. Zapanowała atmosfera niepewności jutra. Zaczęliśmy sobie zdawać sprawę, że żądania Hitlera stawały się coraz bardziej natarczywe i stanowcze, grożące wybuchem wojny. Wielu moich kolegów oficerów rezerwy już od marca 1939 r. zostało powołanych do swych macierzystych pułków. Spodziewając się, że i ja w najbliższym czasie mogę dostać kartę powołania do wojska przygotowałem swój mundur podporucznika piechoty i wyczekiwałem wezwania do pułku. Dokładnej daty nie pamiętam, prawdopodobnie było to w dniach od 22 do 24 sierpnia, gdy o czwartej rano doręczono mi na adres zamieszkania mojej matki w Kielcach przy ulicy Żelaznej 41 kartę powołania z rozkazem natychmiastowego stawienia się w koszarach 4 PP Leg. na Bukówce. Ubrałem się szybko w przygotowany mundur i żegnając się z przygnębioną i zdenerwowaną matką i babką starałem się je pocieszyć, że na pewno nie dojdzie jeszcze do konfliktu z Niemcami i zobaczymy się jeszcze w dniu 1 września na moim ślubie, na którym postaram się otrzymać z koszar kilka godzin urlopu. Pozostały mi w pamięci piękne oczy matczyne, tym razem smutne i załzawione. Chcąc jak najszybciej skrócić czas pożegnania, chwyciłem za teczkę z przygotowaną żywnością i wypadłem z mieszkania, czując na plecach swoich błogosławieństwo matki i babki, które żegnały mnie znakiem krzyża świętego. Zbiegłem szybko po schodach i zacząłem pędzić ulicą Żelazną, by jak najprędzej dostać się do postoju dorożek, stojących na placu Niepodległości pod dworcem kolejowym. Wskakując do pierwszej z brzegu dorożki zawołałem: „na Bukówkę”. Wąsaty dorożkarz z uśmiechem odpowiedział: „Rozkaz panie poruczniku”. Po półgodzinnej jeździe znalazłem się w koszarach 4 PP Leg. gdzie zameldowałem się u oficera dyżurnego, przyjmującego zgłaszających się oficerów. Ze zdumieniem zobaczyłem swego kolegę z gimnazjum im. M. Reja w Kielcach Stefana Wronę, który jako oficer zawodowy rejestrował przybyłych oficerów rezerwy i przydzielał ich do formujących się pułków. Stefan serdecznie się ze mną przywitał i wraz z innymi oficerami przydzielił mnie do OZN – Oddziału Zbierającego Nadwyżki, którego dowódcą był major Ogłaza. Zostałem zakwaterowany w jednym z bloków koszarowych i znalazłem się w grupie oficerów rezerwy, oczekujących na przydziały do organizujących się pułków. Od chwili zakwaterowania w koszarach przydzielano nas do różnych zajęć służbowych w pułku. Pełniąc funkcję oficera służbowego pułku zameldowałem się u majora Ogłazy i poprosiłem o zwolnienie na kilka godzin w dniu 1-go września w celu zawarcia związku małżeńskiego. Nadmieniałem, że data ślubu została ustalona z rodzicami narzeczonej znacznie wcześniej. Zaskoczony moją prośbą major wyjaśnił, że w każdej chwili może wybuchnąć wojna i jeżeli koniecznie zależy mi na poślubieniu narzeczonej, to należy tylko w tych dniach, pod koniec sierpnia przyspieszyć termin ślubu. Nie mając możliwości porozumienia się w tej sprawie z narzeczoną zaryzykowałem i na swoją odpowiedzialność przesunąłem datę ślubu na 28 sierpnia i poprosiłem na ten dzień o udzielenie mi urlopu w godzinach od 12 do 18. Z dobrotliwym uśmiechem zgodził się na moją prośbę i życzył mi szczęścia na nowej drodze życia. Podziękowałem szefowi i wieczorem zawiadomiłem narzeczoną oraz przyszłych teściów o nowym terminie daty ślubu.

Ceremonia ślubna odbyła się w kościele św. Wojciecha w Kielcach około godziny 13 w dniu 28 sierpnia przy licznych udziałach rodziny i znajomych mi osób. Największą niespodzianką w czasie uroczystej mszy sprawiła mi mama i jej drugi mąż Gienek Socha, którzy na chórze przy akompaniamencie organów zagrali pieśń „Ave Maria”.

1 O działalności Pogotowia Harcerskiego w Kielcach w sierpniu i wrześniu 1939 została przeze mnie opracowana relacja zamieszczona w miesięczniku „Harcerstwo” nr 1 ze stycznia 1984 r.

Mama grała na cytrze, a Gienek na skrzypcach. Piękna melodia i jej wykonanie przez bliskie mi osoby przyczyniły się do uświetnienia uroczystości ślubnej i wprowadziły członków mojej i żony rodziny w nastrój rozrzewnienia. Przyznam się, że i ja uległem chwilowemu wzruszeniu. Pamiętałem jednak słowa babci, pod której opieką wraz z bratem przebywaliśmy jako małe dzieci, że prawdziwym mężczyzną jest człowiek opanowany i nie poddający się wzruszeniu. Zaraz po ślubie udało się złapać dorożkę i razem z żoną pojechaliliśmy do zakładu fotograficznego „Moderne”. Po zrobieniu fotografii wsiedliśmy do oczekującej dorożki i ruszyliśmy ulicą Sienkiewicza wśród tłumów ludności, która wypełniła prawie wszystkie ulice miasta. Wszędzie panował duży ruch pieszy. Mieszkańcy Kielc zaczęli wykupywać żywność i inne artykuły. Z trudem dojechaliliśmy do mieszkania rodziców żony na ulicę St. Kostki.

Przy biesiadnym stole odbyło się bardzo skromne przyjęcie weselne w obecności kilkunastu osób, składających się z członków rodzin zamieszkałych w Kielcach. Po wzniesieniu toastów na cześć młodej pary, rodziców i gości opuściłem około godziny osiemnastej biesiadników weselnych, żegnany gorąco przez żonę i matkę, i wszystkich uczestników wesela.

Jadąc do koszar dorożką rozmyślałem o przeżyтым, ważnym dniu mego życia, o rozstaniu się z małżonką i rodziną. Zastanawiałem się, czy i kiedy będzie mi dane powrócić z wojny zdrowym fizycznie i psychicznie. Po przybyciu do koszar zgłosiłem swój powrót, niechętnie informując kolegów o odbyтым ślubie. Zmęczony dniem pełnym wrażeń szybko popadłem w niespokojny sen. 29 sierpnia zakończyło się formowanie drugiego pułku, do którego dołączyła część zmobilizowanych oficerów rezerwy. Oddział Zbierający Nadwyżki powiększał się z każdym dniem, przybywali rezerwiści, szeregowi i oficerowie. Pierwszego września około godziny dwunastej przeżyliśmy nalot samolotów niemieckich, które zrzuciły bomby na nasze koszary, nie wyrządzając większych szkód w budynkach. Podczas pełnienia przeze mnie funkcji oficera służbowego pułku zjawilo się przy bramie wejściowej do koszar dwóch wojskowych, kapitan i podchorąży, którzy przedstawili się, że pochodzą z rozbitych polskich dywizji walczących z Niemcami pod Częstochową. Twierdzili, że armia niemiecka zagraża zdobyciem Kielc w każdej chwili. Poprosiłem ich, by zczekali na wartowni, a sam wybiegłem do dowództwa w celu ich przesłuchania. W międzyczasie od strony lasu dały się słyszeć pojedyncze strzały karabinowe. Natychmiast wysłałem patrol żołnierzy, aby przeczesał teren lasu i ujął ewentualnych dywersantów hitlerowskich. Po powrocie na wartownię nie zastałem kapitana i podchorążego, którzy pod pozorem wyjścia do ustępu zbiegli w niewiadomym kierunku. Okazało się, że byli to dywersanci niemieccy ubrani w polskie mundury, mówiący akcentem śląskim, których zadaniem było szerzenie niepokoju w polskim wojsku. W godzinach popołudniowych zostałem skierowany wraz z kilkoma żołnierzami do Dowództwa 2. Dywizji Piechoty przy ul. Kapitulnej w celu pakowania akt wojskowych i ładowania ich w skrzyniach do samochodów ciężarowych do wywiezienia na wschodnie tereny Polski. Z wiadomości radiowych dowiadywaliśmy się o bohaterskiej walce obronnej polskiego wojska, które pod naporem przeważającym niemieckich sił zmuszone było wycofywać się. Wraz z wojskiem rozpoczęła się ewakuacja urzędów państwowych i komunalnych, łącznie z policją. W zaistniałej sytuacji major Ogłaza zarządził przygotowanie Oddziału Zbierającego Nadwyżki do opuszczenia koszar na Bukówce w celu jak najszybszego wycofania się na wschodnie tereny Rzeczypospolitej, z nadzieją wejścia w skład tworzących się tam nowych polskich formacji wojskowych. W godzinach rannych 4-go września nastąpił wymarsz naszego oddziału liczącego około 1500 żołnierzy i oficerów wraz z taborem konnym, składającym się z kuchni polowych, biedek z amunicją i sprzętem sanitarnym. Tylko kilkuset żołnierzy posiadało mundury i uzbrojenie w karabiny piechoty. Reszta powołanych rezerwistów

była w ubraniach cywilnych i bez broni. Według oświadczenia majora Ogłazy dobrojenie i zaopatrzenie żołnierzy w mundury ma nastąpić w Sandomierzu w 2 PP Leg.

Po wyjściu z koszar ominęliśmy Kielce, by dojść bocznymi drogami do ul. Bodzentyńskiej, prowadzącej w kierunku Opatowa i Sandomierza. Szosa Bodzentyńska była zatłoczona ludźmi, wozami konnymi i samochodami. W tłumie uchodźców przeważali mężczyźni i młodszy chłopcy, uciekający przed Niemcami, by na terenie wschodnich województw zaciągnąć się do polskich jednostek wojskowych. Posuwanie się naszego oddziału w tych warunkach było bardzo utrudnione. Powstawały na drodze zatory i częste postoje.

Za Domaszowicami przeżyliśmy nalot samolotów niemieckich, które w niskim locie zaczęły rzucać bomby wzdłuż szosy. Na szczęście nie wyrządziły większych szkód, ponieważ spadły w pewnym oddaleniu od drogi, ale spowodowały zamęt i popłoch wśród ludzi i koni.

Przelatujące samoloty miały widocznie tym razem ważniejsze zadanie do wypełnienia, skoro nie wróciły i nie rozpoczęły polowania na bezbronną ludność, jak to później się zdarzało, kiedy „bohatercy” lotnicy niemieccy zabawiali się strzelaniem z karabinów maszynowych nawet do pojedynczych osób. Dowództwo naszego oddziału postanowiło zejść z szosy bodzentyńskiej na polne drogi, prowadzące w kierunku Sandomierza. Około godziny 18 przybyliśmy do majątku ziemskiego, położonego w ładnej okolicy, gdzie zostaliśmy przywitani z prawdziwą polską gościnnością przez właściciela majątku, oficera rezerwy.

Oficerowie zostali zakwaterowani we dworze i innych budynkach dworskich. Mnie i koledze przydzielono na nocleg pokój na piętrze w budynku administracyjnym z pięknym widokiem na staw i otaczający go park. Dziewczyna z dworu przyniosła nam smaczną kolację i wspaniałe soczyste gruszki. Piękna noc i kumkanie żab, a nadto orzeźwiający powietrze, nasycone zapachem ziół, napływające przez otwarte okno, nie pozwoliły mnie i koledze zasnąć. Wsłuchiwanie się w melodię żabiej muzyki, przypominającej fragmenty niektórych utworów koncertowych, wprowadziło mnie w nastrój zadumy nad losem ojczyzny, której grozi utrata niepodległości, jeśli nie otrzymamy pomocy od sojuszników. Na drugi dzień po obfitym śniadaniu odpoczywaliśmy w pięknym parku dworskim, rozkoszując się aromatycznym zapachem kwiatów w tym jakże urodziwym i spokojnym zakątku jeszcze wolnej Polski. Właściciel majątku zaprosił wszystkich oficerów na obiad do dużej sali i z radością zakomunikował, że Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę. Wiadomość ta, nadana przez Polskie Radio, niezmiernie nas ucieszyła i podniosła na duchu. Wzniesiono okrzyki: „Niech żyją!” oraz odśpiewano „Jeszcze Polska nie zginęła”. Wspaniały obiad był przerywany przemówieniami, pełnymi optymizmu na przyszłość i zapowiedzi zwycięstwa nad hitlerowskim najeźdźcą. Na zakończenie wspólnej biesiady zaśpiewano wiązanek pieśni legionowych. Na popołudniowej odprawie oficerskiej dowiedziałem się, że będziemy kontynuować marsz do Sandomierza w nocy ze względu na niebezpieczeństwo nieprzyjacielskich samolotów. W 2. PP Leg. ma nastąpić dobrojenie i umundurowanie naszych rezerwistów. Gościnny majątek opuściliśmy, gdy już zapadała noc i drogami polnymi doszliśmy do Sandomierza, gdzie nastąpił podział naszego oddziału na dwie grupy. Pamiętam, że w grupie, która skierowała się do Jarosławia był hm. Tadeusz Gruszczyński, hufcowy z Suchedniowa. Ja zaś pozostałem w oddziale majora Ogłazy, z którym wyruszyliśmy wieczorem w kierunku Lubelszczyzny. Przeszliśmy w nocy przez spaloną i zbombardowaną miejscowość Nisko. Wszędzie widać było tylko sterczące kominy domów, a w powietrzu unosił się zapach spalenizny z tłących się jeszcze drewnianych belek. Nie zatrzymując się w tym zniszczonym miasteczku wyszliśmy na leśną drogę, prowadzącą do Biłgoraja. Po dwóch dniach wędrowania

zatrzymaliśmy się na całodzienny postój w lesie pod Zamościem, który na naszych oczach był bombardowany przez samoloty Luftwaffe.

Zaprowiantowanie naszego oddziału było sprawne. Nie zaznaliśmy głodu dzięki kuchniom polowym i zaopatrzeniu w ziemniaki niewykopane z pola oraz mięso uzyskiwanego z uboju bydła lub trzody chlewnej, zakupionej od miejscowych gospodarzy. Nasz dowódca major Ogłaza usiłował nawiązać kontakt z wycofującymi się oddziałami polskimi, które podobnie jak my szukały większego zgrupowania, zdolnego do nawiązania walki z nacierającym nieprzyjacielem. Sytuacja obronna Polski była bardzo trudna i stawała się z dnia na dzień bardziej tragiczna, ponieważ powstało nowe zagrożenie dla naszych armii od południa kraju z powodu przekroczenia przez wojska niemieckie granicy polsko-czechosłowackiej. Niemieckie dywizje pancerne znalazły się na terenie Lubelszczyzny. Przestaliśmy się łudzić i liczyć na sojuszników, którzy nie przystąpili do żadnej akcji zbrojnej na lądzie i w powietrzu przeciwko Niemcom. Stało się to, czego nie przewidywaliśmy, że będziemy walczyć z nawałą hitlerowską w osamotnieniu. Posuwając się w dalszej wędrówce na północ obeszlśmy Krasnystaw i zbliżyliśmy się do rzeki Bug.

Złota piękna jesień, objawiająca się w całej krasie gorącego babiego lata pośród prześlicznych barw otaczającej przyrody, zamiast cieszyć wprowadziła mnie i kolegów w stan zdenerwowania a nawet rozpacz. Oczekiwaliśmy ciągle z utęsknieniem na upragniony deszcz, który o tej porze roku mógłby w naszych warunkach klimatycznych spowodować opóźnienie w posuwaniu się zmotoryzowanych kolumn nieprzyjacielskich. Wyobrażałem sobie w marzeniu rozmokłe drogi i roztopy na polach, które dla motocykli, samochodów i czołgów byłyby przeszkodą naturalną, a dla samolotów niemożność kontynuowania ciągłych bezkarnych lotów przy zachmurzonym niebie. Niestety, piękna pogoda sprzyjała ciągle Hitlerowi. Z wiadomości usłyszanych przez radio w czasie krótkich postojów na kwaterach dowiedzieliśmy się o bohaterskiej walce naszych żołnierzy z olbrzymią przewagą techniczną armii niemieckich, które z trzech stron: od zachodu, północy i południa zaatakowały Polskę.

Ogarniało nas coraz większe przygnębienie. Przekroczyliśmy rzekę Bug z nadzieją, że na tym terenie, jeszcze wolnym od działań wojennych znajdziemy tworzące się polskie dywizje do dalszej obrony i dokonania przeciwuderzenia. Weszliśmy w obszar Polesia, gdzie mieliśmy być przydzieleni do formującego się większego zgrupowania operacyjnego na wschód od Brześcia. Około 14 września osiągnęliśmy miejscowość Drohiczyn z zamiarem pozostania tam przez dłuższy czas w celu zorganizowania bojowego batalionu piechoty poprzez uzupełnienia broni, amunicji, a nawet i mundurów, pochodzących z rozproszonych oddziałów wojskowych, które znalazły się na Polesiu. Wiadomość o tych przygotowaniach wpłynęła na lepsze samopoczucie oficerów, jak i żołnierzy. Sądzono, że skończy się bezcelowa tułaczka i wreszcie zostaniemy włączeni do większej formacji wojskowej z dużą nadwyżką oficerów.

W Drohiczynie przebywaliśmy trzy dni. Dnia 18 września major Ogłaza zarządził nagle apel całego naszego oddziału i zawiadomił, że wojska radzieckie w dniu 17 września przekroczyły wschodnie granice Rzeczypospolitej w porozumieniu z armią niemiecką. Wiadomość ta zrobiła na nas piorunujące wrażenie. Jednocześnie major zwrócił się do żołnierzy pochodzenia białoruskiego i ruskiego o pozostaniu na tych terenach i powrócenia do swych rodzin. W tym celu wydał rozkaz o wystąpieniu z szeregów wszystkich żołnierzy pochodzenia białoruskiego i rusińskiego. Zdumienie ogarnęło nas oficerów, ponieważ nikt z żołnierzy nie zareagował na wezwanie majora, wręcz przeciwnie – odezwały się głosy, że nie chcą się dostać w ręce sowieckie, lecz dalej walczyć z Niemcami. Należy nadmienić, że w 4 PP Leg. odbywało służbę czynną wielu obywateli polskich narodowości białoruskiej lub rusińskiej i należałoby przypuszczać, że chętnie skorzystają ze sposobności powrotu do swych domostw na tym terenie.

Po skończonym apelu major ponownie zebrał żołnierzy pochodzących z Wołynia i przekonał ich o pozostaniu na terenach wschodnich, ponieważ w dalszym ciągu mogą być powołani do walki o wolność ojczyzny. Ponadto około stu rezerwistów w cywilnych ubraniach, którzy opuścili Kielce w Oddziale OZN pod dowództwem majora Ogłazy, zostało również zwolnionych ze służby wojskowej i udało się w swoje strony rodzinne. Zawarcie paktu przyjaźni pomiędzy Związkiem Radzieckim a Rzeszą Niemiecką spowodowało u nas ogromne przygnębienie. Dwa wrogie nam państwa dokonały czwartego rozbioru Polski. Większość oficerów była zdania, aby jak najszybciej przedostać się do granicy polsko-rumuńskiej. Część zaś, do której i ja się zaliczałem, uważała za celowe pozostać w kraju i wrócić do swoich rodzin lub przyjaciół, by rozpocząć działalność konspiracyjną przeciwko Niemcom. Rozważania i dyskusje zostały przerwane nagłym rozkazem dowództwa przygotowania się do opuszczenia Drohiczyzna. Wymarsz naszej uszczuplonej grupy nastąpił tego samego dnia po południu. Oprócz kompanii uzbrojonych żołnierzy i taborów znaleźli się wszyscy oficerowie w liczbie około 300 osób. Rozpoczęliśmy szybką wędrowkę w kierunku południowym. W drugim dniu marszu jechaliśmy wynajętymi wozami chłopskimi. W czasie przejazdu przez dużą wieś wołyńską zostaliśmy nagle ostrzelani. Natychmiast zeskoczyliśmy z wozów pod ściany domów, by zaobserwować skąd padają strzały karabinowe. Okazało się, że strzały pochodziły od strony lasu z dość dużej odległości. Od mieszkańców tej wsi dowiedzieliśmy się o pojawieniu się w tych okolicach bandy Ukraińców, która na wiadomość o wkroczeniu do Polski wojska radzieckiego pozwoliła sobie szerzyć niepokój wśród polskiego społeczeństwa. Zostaliśmy poinformowani przez dowódcę, że naszym celem jest jak najszybsze osiągnięcie Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie odbywa się większa koncentracja rozproszonych polskich oddziałów wojskowych.

Pod wieczór 19 września zbliżyliśmy się do z dala widniejących budynków koszarowych z czerwonej cegły. Było to przedmieście Włodzimierza Wołyńskiego. Na terenie koszar zastaliśmy wielu żołnierzy. Wszystkie otwory okienne w budynkach były wypełnione workami z piaskiem. Po zjedzeniu skromnej kolacji ulokowano naszą grupę oficerów i żołnierzy na pierwszym piętrze w jednym z budynków koszarowych i polecono zajęcie stanowisk bojowych przy oknach. Od żołnierzy przebywających w tych koszarach otrzymaliśmy broń, amunicję oraz ręczne granaty. Zostaliśmy postawieni w stan pełnej gotowości bojowej i czuwania przez całą noc. Z powodu panujących ciemności z braku oświetlenia nie można było zorientować się, jak wygląda teren przed naszymi oknami. Na odprawie u dowódcy dowiedziałem się, że zarządzone zostało całonocne pogotowie we wszystkich budynkach koszarowych wraz z rozstawionymi czujkami na drogach, na wypadek zaatakowania naszego zgrupowania przez Niemców lub Rosjan. Nad obroną całości zgromadzonego we Włodzimierzu Wołyńskim wojska objął dowództwo wraz z licznym sztabem pułkowników generał Smorawiński, komendant DOK Lublin. Obsady stanowisk ogniowych przy oknach składały się przeciętnie z kilkunastu osób, z czego połowę stanowili oficerowie rezerwy.

Ostatnie dni wędrowania stały się dla mnie szczególnie uciążliwe ze względu na powstałe w czasie długotrwałych marszów zranienia stóp, z powodu ciasnych butów oficerskich. Poczulem ból głowy i ogarnęło mnie znużenie i pragnienie snu. Zmęczony oparłem się o skrzynkę z amunicją i nie pamiętam, jak to się stało, że zasnąłem skulony w przysiadzie.

O północy obudziły mnie strzały karabinowe i daleki szum motorów, który stawał się coraz głośniejszy i groźniejszy. W ciągu kilku minut zostaliśmy otoczeni przez czołgi sowieckie. Od oficera służbowego, utrzymującego kontakt ze sztabem obrony, dowiedziałem się, że przez całą noc odbywały się spotkania gen. Smorawińskiego z przedstawicielami Armii Radzieckiej w sprawie nieinterweniowania w przygotowanie naszego

zgrupowania do obrony przed Niemcami. Dopiero około godziny czwartej nad ranem doszło do zawarcia dwustronnej umowy, z której wynikały następujące uzgodnienia:

- żołnierze polscy po złożeniu broni będą mogli udać się w swoje strony rodzinne,
- oficerowie polscy będą mogli zatrzymać broń krótką i wyjechać z Włodzimierza Wołyńskiego pociągami na zachód do połączenia się z polskimi formacjami wojskowymi walczącymi z Niemcami,
- ponadto umowa zawierała dodatkowe punkty, związane z przekazaniem koszar i majątku wojskowego.

Przed czekającą nas przykrą ceremonią składania broni przez naszych żołnierzy udałem się z kilkoma kolegami na teren budynków magazynowych. Trafiliśmy na magazyn z bielizną.

Nie namyślając się dłużej, szybko przebraliśmy się w nowe koszule i kalessony. Przechodząc obok otwartego magazynu z pozostawionymi ubraniami cywilnymi rezerwistów wpadłem na pomysł, aby wybrać jedno z nich, które mogłoby ułatwić mi ucieczkę, gdybym dostał się do niewoli. Do zawiniątka z ubraniami włożyłem parę żółtych półbutów i z taką paczką stawilem się o siódmej rano na placu koszarowym w grupie kilkuset oficerów. Frontem do miejsca przeznaczonego na składanie broni stanęło około dwóch tysięcy naszych żołnierzy. Po krótkim przemówieniu jednego z polskich pułkowników została odczytana treść zawartej umowy z Armią Radziecką w języku polskim i rosyjskim. Następnie przystąpiono do zdawania broni. Zapamiętałem ten dzień 20 września, jak nasi żołnierze rozstawiali się z bronią w obecności swych oficerów, rzucając ze złością karabiny na gromadzący się stos broni. Kilku oficerów radzieckich, którzy przyglądali się oddawaniu przez naszych żołnierzy broni, wyraziło chęć zapoznania się z naszą grupą oficerską. W towarzystwie kilku polskich pułkowników przeszli wzdłuż szeregów, przypatrując się uważnie mundurom, których dotykali palcami. Zrobili na nas nieprzyjemne wrażenie, byli źle ubrani w brudne skórzane kurtki cuchnące dziegciem i nieogoleni, chodzili w chłopskich butach z cholewami. Po skończonej prezentacji zaczęli podchodzić do nas podoficerowie i przekazywać swoje rewolwery, które zgodnie z podpisaną umową wolno było nam posiadać. Cała nasza grupa oficerska, podzielona na kompanie, opuściła przed południem plac koszarowy i pod dowództwem oficerów radzieckich wyszła na szosę, którą zaczęliśmy iść w niewiadomym kierunku. Zauważyłem, że na czoło naszej kolumny wyjechał czołg. Również i na tyłach kolumny pokazał się drugi czołg. Po pewnym czasie weszliśmy na teren zalesiony. Po lewej i prawej stronie szosy biwakowały sowieckie oddziały wojskowe. Po przejściu kilkuset metrów drogi zostaliśmy zatrzymani i skierowani na odpoczynek do przydrożnego rowu. W pewnym momencie wyszli z zalesionego terenu żołnierze sowieccy z żądaniem oddawania rewolwerów i map. Z oburzeniem przyjęliśmy ten fakt i na polecenie naszych dowódców, wobec zaistniałej sytuacji, oddawaliśmy broń krótką. Niedotrzymanie warunków umownych postawiło nas przed faktem nieznanego dalszego losu. Po przejściu kilkuset metrów nastąpił drugi postój, gdzie odebrano nam torby oficerskie i lornetki. W dalszym marszu zostaliśmy znowu zatrzymani i postawieni w dwuszeregu. Przed frontem naszej dwuszeregowej kolumny zjawili się rosyjscy oficerowie i nasi pułkownicy. Jeden z oficerów radzieckich zaczął ochryplym głosem wydawać komendę po rosyjsku, której większość z nas nie rozumiała. Widzieliśmy i słyszeliśmy, jak doszło do ostrej wymiany zdań pomiędzy naszymi i rosyjskimi oficerami. Jeden z naszych pułkowników wysunął się do przodu i drżącym głosem oświadczył, że radzieckie władze wojskowe zerwały zawartą z nami umowę i w tym momencie ten przystojny pułkownik z orderami na piersi zachwiał się i upadł. Natychmiast otoczyli go koledzy i po pewnej chwili ocucili z omdlenia. Fakt ten zrobił na nas duże wrażenie. Zrozumieliśmy, że zostaliśmy oszukani w podstępny sposób i potraktowani przez radzieckie dowództwo wojskowe wbrew obowiązującym układom międzynarodowym. Na rozkaz

jednego z polskich pułkowników: „czwórki w prawo zwrot” ruszyliśmy szosą dalej, ale już pod silną eskortą radzieckich żołnierzy. Po pewnym czasie jadący przed nami czołg skręcił w prawo od szosy na dużą porębę leśną, na którą wprowadzono naszą kolumnę naprzeciw stojących pięciu karabinów maszynowych z obsługą żołnierzy radzieckich. Drugi czołg, który jechał za naszą kolumną, zatrzymał się na szosie i skierował działo i karabin maszynowy w naszym kierunku. Na rozkaz oficera radzieckiego odbyło się obliczanie osobowego stanu oficerów i spisywanie nazwisk z adresem zamieszkania. Część oficerów zawodowych, pełniących służbę w wojsku polskim i wywodzących się z armii rosyjskiej, jako białogwardziści nie podawała swoich prawdziwych nazwisk. Stojąc w dwuszeregu obok starszego wiekiem majora rezerwy, zapytałem, co sądzi o naszej sytuacji. Wyjaśnił mi, że w czasie wojny w 1920 roku bolszewicy w większości przypadków nie uznawali żadnych umów międzynarodowych w traktowaniu jeńców, zwłaszcza oficerów, których po wzięciu do niewoli rozstrzeliwali. Nie chciałem wierzyć słowom majora. Siedzący z mną dwaj młodzi podporucznicy włączyli się do rozmowy i zaczęliśmy rozważać położenie, w jakim się znaleźliśmy. Doszliśmy do wniosku, że, w wypadku, gdyby zaistniało takie niebezpieczeństwo, o którym prorokował major nie pozostaje nam nic innego, jak mieć się na baczności i w pewnej dogodnej chwili rzucić się na obsługę karabinów maszynowych i po jej zlikwidowaniu przy pomocy nieoddanych rewolwerów umożliwić ucieczkę przynajmniej części oficerów, mimo poniesienia strat. Wydawać się mogło, że pomysł ten, jako szaleńczy, jest nierealny, lecz dawał nam iskrę nadziei. W moim otoczeniu zaczęliśmy niszczyć książeczki tożsamości. Przesiedzieliśmy tak na polanie do wieczora. Słońce już zachodziło, gdy usłyszeliśmy słowa polskiej komendy do opuszczenia tak niebezpiecznego miejsca.

Z radością stanęliśmy w dwuszeregu i w czwórkach ruszyliśmy z powrotem do Włodzimierza Wołyńskiego, pozostawiając po sobie ślad zniszczonych dokumentów w formie białej ścieżki. Wymarsz nastąpił pod silną eskortą żołnierzy radzieckich.

W czasie drogi zastanawialiśmy się nad dalszym naszym losem. Z rozmów wynikało, że albo zamkną nas w obozie jenieckim, albo możemy być zesłani na Sybir do ciężkich robót. Dochodząc do rynku zostaliśmy niespodziewanie przywitani przez uzbrojoną grupę młodych Żydów i Ukraińców, liczącą kilkadziesiąt osób, wznoszących wrogie okrzyki „rozstrzelać polskich oficerów”. Demonstrujący nieśli czerwone flagi i byli przybrani wstęgami koloru czerwonego. Część wiecujących przyłączyła się do sowieckiej eskorty i zaczęła nas prowadzić wąską ścieżyną w górę, jak się później okazało do więzienia. Pamiętam, jakie wrażenie wywarła na nas w tej demonstracji obecność polskich Żydów, którzy razem z Ukraińcami i żołdatami wzięli udział w eskortowaniu oficerów do więzienia. Na placu więziennym oczekiwał nas stojący na podwyższeniu młody komunista, który w języku polskim zaczął z nas szydzić, że ośmieliliśmy stawiać warunki, a nawet i opór Armii Czerwonej pod wodzą wielkiego Stalina przy oswobianiu Włodzimierza Wołyńskiego.

Następnie w otoczeniu rosyjskich strażników zgodnie z procedurą więzienną polecił oddawać do depozytu szczyryki, paski i inne przedmioty, które kładliśmy obok stalinowskiego propagandzisty. Przede mną szło kilku oficerów zawodowych z przypiętymi do mundurów odznaczeniami wojennymi. Pamiętam, że idący przy nich kapitan o nazwisku Dulęba szepnął nam, że tego bolszewickiego skurw... zastrzeli. Zdażyliśmy wytłumaczyć porywczemu kapitanowi, aby tego nie robił, bo nas wszystkich wystrzelają. Wystarczy jedynie zlekceważyć jego polecenie. Tak też uczynił, dając znak sprzeciwu ręką. Ja natomiast obawiałem się, czy nie będę zmuszony pozostawić moje zawiniątko, w którym mieściło się ubranie cywilne zabrane z magazynu koszarowego. Okazało się, że niesione przez oficerów pakunki nie były kwestionowane. Wpakowano nas do pomieszczeń więziennych. Znalazłem się w dużej sali, gdzie było tak ciasno, że trudno było usiąść na posadzce. Udało mi się przysunąć do filaru, przy którym siedział

zmęczony major Ogłaza. Nawiązałem rozmowę i spytałem, jakie jest jego zdanie o sytuacji, w której się znaleźliśmy. Stwierdził, że potraktowano nas gorzej niż jeńców i prawdopodobnie będziemy przesłuchiwani przez NKWD. Należy się także spodziewać, że mogą nas wywieźć w głąb Rosji lub dalej na Sybir.

Znużony i głodny, siedząc oparty o filar zapadłem w niespokojny sen. Około godzinny 22 obudziła mnie głośnie rozmowa w języku rosyjskim. Niedaleko mojego miejsca stał rosyjski oficer z sumiastym wąsem i pytał, kto tu jest najstarszy. Jeden z polskich pułkowników odpowiedział po rosyjsku, że gen. Smorawiński został wywieziony samochodem osobowym przez oficerów radzieckich zaraz po podpisaniu zawartej umowy. Do rozmowy włączył się drugi pułkownik, który z oburzeniem wypomnił oficerowi radzieckiemu niedotrzymanie warunków umowy odnośnie pozostawienia polskich oficerów na wolności i potraktowanie ich jak złodziei, zamykając w więzieniu oraz nie zapewniając choćby jednego posiłku w ciągu całego dnia. Wówczas interpelowany przedstawiciel Armii Czerwonej zaczął przeproszać i wyjaśniać, że nastąpiło pewne nieporozumienie. Nadmienił, że zawarta umowa zostanie dotrzymana i w dniu jutrzejszym będziemy mogli odjechać pociągiem na zachód. Zapewnił również, że zaraz dostaniemy kolację, a jutro rano śniadanie. Oficerowie nasi zażądali natychmiastowego usunięcia cywilnego agenta, który ubliżał polskim oficerom, przywrócenia polskiej obsługi więziennej i oddania wszystkich drobnych przedmiotów zarekwirowanych przez cywilnego agenta komunistycznego. Oficer radziecki słuchając naszych pretensji kiwał głową i przyznawał rację oraz ciągle powtarzał, że to, co się stało było pomyłką. Niebawem spełnione zostały przyrzeczenia oficera radzieckiego, ponieważ zjawiała się polska straż więzienna, usunięty został nasz opiekun komunistyczny, zwrócono nam wszystkie przedmioty zabrane przed wejściem do więzienia i przyniesiono kolację, składającą się z czarnej słodkiej kawy i świeżego chleba z powidłami. Od strażników więziennych dowiedzieliśmy się, że w mieście powstał komitet pomocy dla więzionych oficerów, który ma zająć się ich żywieniem. Wśród młodszych oficerów zapanował wesoły nastrój, natomiast starsi od nas wiekiem nie wierzyli zapewnieniom delegata Armii Radzieckiej. Na drugi dzień po zjedzeniu śniadania, składającego się z chleba ze smalcem i kawy zbożowej, opuściliśmy więzienie i w kolumnie marszowej, na czele z kilkoma oficerami rosyjskimi, przybyliśmy na dworzec kolejowy. Dochodząc do peronów zobaczyłem stojący na torach pociąg osobowy z doczepionymi dwoma wagonami towarowymi. Między wagonami osobowymi znajdowały się platformy towarowe, na których stały karabiny maszynowe z obsługą wojskową. Po wejściu naszej kolumny na peron zjawił się rosyjski komendant transportu i zaczął głośnie wydawać rozkazy do szybkiego zajmowania miejsc w wagonach osobowych. Zająłem miejsce przy oknie, by obserwować generała Smorawińskiego, spacerującego po peronie w towarzystwie oficerów radzieckich. Wyglądając przez okno zauważyłem, jak do sąsiednich wagonów wsiadali moi koledzy – por. zawodowy Stefan Wrona i pfm. Adolf Przeorski. Do wagonów towarowych wprowadzano osoby cywilne i policjantów. Przed odjazdem pociągu komendant transportu przebiegł wzdłuż pociągu i ostrzegał o użyciu broni maszynowej w razie próby ucieczki. Po załadowaniu wszystkich oficerów pociąg ruszył na wschód w kierunku Kowla. Straciliśmy nadzieję uwolnienia nas z niewoli. Kilku oficerów z naszego przedziału zaczęło grać w pokera. Ja zaś, myśląc ciągle o ucieczce, wyjąłem z zawiniątka ubranie cywilne i przygotowałem się do zdjęcia munduru.

Moim mundurem zainteresował się podchorąży Nałęcz Dobrowolski, syn profesora gimnazjum im. Śniadeckich w Kielcach a butami oficerskimi kolega Kudelski, którego poznałem na wieczorkach tanecznych jako świetnego harmonistę. Było już ciemno, gdy zajechaliśmy na stację w Kowlu. Panował tu duży ruch podróżnych. Żołnierze radzieccy z eskorty przez całą noc czuwali, by nikt z oficerów nie wydostał się z przedziałów pod inne wagony pociągów, skąd można było przejść na teren stacji kolejowej.

Dowiedziałem się, że niektórym młodszym oficerom udało się uciec i ukryć w tłumie podróżnych. Od chwili wyjazdu z Włodzimierza Wołyńskiego rozmyślałem cały czas, w jaki sposób uciec z pociągu. Gdyby nie znużenie i senna, skorzystałbym na pewno z ucieczki na stacji w Kowlu. Nad ranem opuściliśmy Kowel. Jechaliśmy na wschód w stronę Kiwerc. Piękna pogoda i upał dokuczał nam coraz bardziej. W przedziale było gorąco i duszno. Dojechaliśmy na stację w Kiwercach. Pociąg zatrzymał się naprzeciw budynku stacyjnego w odległości kilkudziesięciu metrów, od którego dzieliło nas kilkanaście torów kolejowych. Obok stacji z prawej strony znajdowała się studnia z pompą. Widać było, jak wielu podróżnych razem z polskimi i rosyjskimi żołnierzami tłoczyło się przy studni, aby napić się wody. Zacząłem marzyć, by jak najszybciej znaleźć się wśród tej gromady ludzi, cieszących się wolnością. Postanowiłem pod pretekstem przyniesienia wody kolegom ukryć się w tłumie podróżnych i uciec jak najdalej od stacji kolejowej. Nie zastanawiając się dłużej, szybko przebrałem się w ubranie cywilne, narzuciłem na siebie długi płaszcz wojskowy i zawiesiłem na szyi 3 puste manierki i przygotowałem się do wyjścia z pociągu. Koledzy z przedziału odradzali mi ucieczkę ze względu na niebezpieczeństwo band ukraińskich, grasujących na tym terenie. Tłumaczyli, że musimy pogodzić się z pójściem do niewoli i możemy się jeszcze przydać ojczyźnie. Wyjaśnienia kolegów były logicznie uzasadnione, lecz mnie nie przekonały, ponieważ zacząłem działać jak w transie, że muszę się wyrwać z niewoli. Włożyłem furażerkę i z zawieszonymi manierkami otworzyłem drzwi przedziału, i stanąłem przed wartownikiem, któremu dałem do zrozumienia, że chcę przynieść wody dla spragnionych kolegów, którzy nie zdążyli przed odjazdem napełnić manierki. Nie zgodził się i krótko wyjaśnił, że żołnierze radzieccy już zaczęli roznosić wodę w wiaderkach. W tym momencie siedzący przy karabinie maszynowym żołnierz zawołał do swego towarzysza, z którym rozmawiałem, aby zobaczył, jak on się goli nieznaną żołdatom maszynką do golenia, pożyczoną przez naszych oficerów. Natychmiast wykorzystałem ten moment i udając, że otrzymałem zezwolenie zacząłem się oddalać od pociągu w kierunku studni. Przechodząc przez tory kolejowe byłem przekonany, że za mną postępuje wartownik, i gdy wszedłem w grupę ludzi nabierających wodę, stwierdziłem, że jestem wolny. Postanowiłem szybko odejść z tego miejsca i spokojnie skierowałem kroki na zaplecze budynku stacyjnego. Poczulem zapach smażonej wątróbki i wpadłem do kuchni, w której krzątała się w średnim wieku kobieta. Zrzuciłem płaszcz wojskowy i zakomunikowałem, że uciekłem z transportu oficerów wziętych do niewoli, wiezionych w głąb Związku Radzieckiego, prosząc o chwilowe pozostanie przed dalszą drogą. Uprzejma pani, przypuszczalnie żona zawiadowcy stacji, chwyciła mój płaszcz wojskowy i ukryła go w kuftrze. Widząc mnie w ubraniu cywilnym zaproponowała, aby pozostać tu na dłużej i poczekać do czasu uruchomienia pociągów. Podziękowałem za życzliwość i poczęstowanie wątróbką, a gdy zamierzałem opuścić gościnny dom, wpadł do kuchni uciekający oficer i krzyknął, że jest ścigany przez wartowników sowieckich. Wówczas dzielna żona kolejarza podskoczyła do okien i stwierdziła, że rzeczywiście przed pociągiem z oficerami panuje duży ruch żołnierzy z eskorty, którzy biegali wzdłuż pociągu i zaglądali pod koła wagonów. Dla zapewnienia nam chwilowego bezpieczeństwa wpełnęła mnie do szafy, a kolegę zamknęła w podręcznej szuflce. Po kilku minutach uwolniła nas z chwilowych kryjówek, ponieważ zapanował spokój przy pociągu z jeńcami. Zdecydowaliśmy z kolegą natychmiast opuścić gościnny dom. Wychodząc z kuchni natknęliśmy się na starszego mężczyznę w płaszczu wojskowym w furażerze na głowie. Ze zdumieniem rozpoznałem podporucznika rezerwy, z którym przebywałem w tym samym przedziale wagonu. Ustaliliśmy, że we trójkę będziemy się starali jak najszybciej obejść teren dworca kolejowego i torami kolejowymi iść w kierunku Kowla. W czasie drogi nasz starszy kolega o nazwisku Orliński opowiedział, w jaki sposób udało mu się wydostać z rąk sowieckich. Dzięki biegłej znajomości języka rosyjskiego oraz

szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zaplanował sobie ucieczkę z pociągu w następujący sposób: wyszedł z przedziału wagonu, tak, jak ja to zrobiłem, i nie zwracając uwagi na stojącego wartownika zaczął iść do dworca kolejowego, a gdy ten go zatrzymał, wyjaśnił, że nie jest oficerem, o czym świadczy brak dystynkcji wojskowych, lecz żołnierzem rezerwistą, szukającym w transporcie swojego brata. Wartownik zarzucił mu kłamstwo, twierdząc, że widział go, jak wyglądał przez okno wagonu w czasie jazdy pociągiem na trasie Kowel – Kiwercy i wezwał komendanta transportu jenieckiego, któremu zameldował o zatrzymaniu polskiego oficera, usiłującego zbiec z pociągu. Orliński chcąc udowodnić, że mówi prawdę, zaryzykował w sposób bezczelny i wskazał na dwie stojące na peronie kobiety przysłuchujące się głośnym rozmowom, że to są jego kuzynki, z którymi przebywał przez całą noc na stacji w Kiwercach, i mogą o tym zaświadczyć. Po usłyszeniu tych słów jedna przyglądających się Polek podeszła do komandira i w języku rosyjskim potwierdziła, że Orliński mówi prawdę i jednocześnie wzięła go pod rękę i razem udali się na dworzec kolejowy. Komendant i wartownicy powrócili do transportu jenieckiego. Natomiast Orliński wraz z dwiema nieznanymi mu kobietami wszedł do zapelnionej podróżnymi poczekalni i serdecznie im podziękował za uratowanie życia, zapisując ich adresy zamieszkania.

W dalszym ciągu opowiadania wspominał o tym, jak moi koledzy wyglądający przez okna wagonu zabawiali rozmową wartownika, gdy przechodziłem przez tory kolejowe do tłoczących się ludzi przy studni. Zrozumiałem teraz, że do mojej ucieczki z wagonu przyczynili się koledzy. Słuchając z ciekawością niezwyklej opowieści Orlińskiego, oddaliliśmy się szybko od Kiwercy, idąc we trójkę wzdłuż torów kolejowych do Kowla.

Z podporucznikiem rezerwy Łąbedzkim, z którym schroniliśmy się po ucieczce z transportu kolejowego oficerów w mieszkaniu zawiadowcy na stacji kolejowej w Kiwercach namawialiśmy Orlińskiego, aby koniecznie postarał się zamienić swój mundur polowy na ubranie cywilne, ponieważ przy spotkaniu się z Niemcami zostanie wzięty do niewoli.

Dołączyliśmy do gromady uchodźców, składających z kolejarzy i tramwajarzy, którzy po wkroczeniu Armii Radzieckiej na tereny polskie wracali do Warszawy, Lublina i innych miejscowości położonych za Bugiem. Był już wieczór, gdy dotarliśmy na przedmieście Kowla, gdzie gościnni gospodarze udzielili nam noclegu w stodole. Wezwanie rano wyruszyliśmy w dalszą drogę. Ominęliśmy miasto i dworzec kolejowy, by dojść do linii kolejowej prowadzącej do Chełma. Pod stacją kolejową w Lubomlu zobaczyliśmy zbombardowany pociąg towarowy z różnymi maszynami i urządzeniami fabrycznymi, wywozonymi na wschodnie tereny Rzeczypospolitej. Rzekę Bug przepłynęliśmy promem i udaliśmy się do głównej szosy, prowadzącej do Chełma. Na szosie panował duży ruch kołowy i pieszy: jechały radzieckie samochody ciężarowe z wojskiem, czołgi oraz maszerujące tłumy Polaków na poboczach drogi. Co kilka lub kilkanaście kilometrów stały przy szosie posterunki uzbrojonych Ukraińców, którzy przystrojeni w czerwone wstążki na rękawach kontrolowali wszystkie osoby cywilne, czy nie mają broni i czy posiadają odpowiednie dokumenty tożsamości, na podstawie, których mogliby się orientować, skąd pochodzą i dokąd się udają wędrujący Polacy. Nie mieliśmy ze sobą żadnych dokumentów, ponieważ książeczki wojskowe zniszczyliśmy we Włodzimierzu Wołyńskim, a którymi i tak nie moglibyśmy się legitymować, ponieważ byłibyśmy natychmiast aresztowani i odstawieni do NKWD.

W tej sytuacji postanowiliśmy uisnąć w przydrożnym rowie wśród wielu innych osób wycoczynających i przypatrywać się, jak odbywa się kontrola. Zauważyliśmy, że na szosie były utworzone obok siebie dwa punkty kontrolne – jeden, na którym sprawdzano dowody tożsamości i drugi, gdzie odbywała się kontrola osobista ludzi. Ponadto stwierdziliśmy, że, jeśli szło się w dużej grupie, to można było ominąć sprawdzanie dowodów i przejść bezpośrednio do kontroli osobistej, czy nie posiada się broni, po

której wychodziło się poza posterunek kontrolny i razem z grupą ludzi udać się w dalszą drogę. Tym sposobem udało nam się we trójkę przejść przez dwa posterunki. Na trzecim punkcie kontrolnym został zatrzymany przez Ukraińców nasz towarzysz ppor. rez. Orliński, który będąc starszym tęgim mężczyzną w płaszczu wojskowym i mundurze bez dystynkcji zwrócił uwagę kontrolujących, którzy zażądali od niego dowodu. Odchodząc z kolegą Łabędzkim słyszałem, jak wyjaśniał Ukraińcom, że teczka z jego dokumentami zaginęła w czasie nalotu lotniczego. Od tej chwili straciliśmy wszelką wiadomość o naszym towarzyszu, który prawdopodobnie został przez Ukraińców zamordowany. Żalowaliśmy go bardzo, bo przecież tylko kilka dni cieszył się wolnością. Pamiętam, że w Kowlu namawialiśmy go by zamienił swój płaszcz i mundur wojskowy na jakiegokolwiek ubranie cywilne. Pod wieczór doszliśmy do Chełma i zatrzymaliśmy się na przedmieściu w rodzinie szewca, która przyjęła nas z prawdziwą polską gościnnością. Z gospodarzem domu nawiązałem przyjemną i patriotyczną rozmowę. Dowiedziałem się, że w okolicy Siedlec i Białej Podlaskiej walczą z Niemcami polska grupa operacyjna pod dowództwem gen. Franciszka Kleeberga, która w ciężkich bojach z przeważającymi siłami nieprzyjaciela stawia opór i odnosi zwycięstwa.

Po przespanej nocy, tym razem nie w stodole, lecz w mieszkaniu szewca, wyszliśmy z kolegą na miasto, aby kupić sobie czapki. Na ulicach miasta było pełno żołnierzy radzieckich, którzy chodzili do sklepów i wykupywali różne towary, płacąc rublami zrównanymi z polską walutą.

Żołnierze rosyjscy byli ubrani w mundury drelichowe, przeważnie wyblakłe w różnych odcieniach koloru zielonego, i wyglądali bardzo nędznie. Na piersiach zamiast odznaczeń mieli przypięte duże zegarki kieszonkowe, które wykupywali u zegarmistrzów lub zabierali mieszkańcom miasta. Widok tak udekorowanych żołdatów wzbudzał wśród przechodniów śmiech i politowanie. W poszukiwaniu czapek weszliśmy do małego sklepu żydowskiego, gdzie mieściły się rozmaite artykuły i poszukiwane przez nas cyklistówki. W sklepie zastaliśmy dwóch krasnoarmiejców, którzy robili większy zakup lepów na muchy. Jeden z żołnierzy odbierał od Żyda z półek lepy na muchy i wkładał je do papierowych toreb, drugi zaś rozwinął jeden z lepów i sądząc, że jest to cukierek dotknął go językiem i spowodował przyklejenie rąk do głowy. Widząc to drugi Rosjanin zaczął się głośno śmiać i rzucać w Żyda wyjmowanymi z torby lepami, który chował się pod ladą i wołał swoją żonę. Za chwilę zjawiała się Żydówka trzymająca w rękach dwa zużyte lepy oblepione muchami. Obaj żołnierze zaczęli się jeszcze głośniejszym śmieć i wykrzykiwać, że polskie pany dla zabawy w taki sposób łapią sobie muchy. Rozweseleni tym zdarzeniem żołnierze opuścili sklep, pozostawiając lepy na ladzie sklepowej. Po zakupieniu cyklistówek wróciliśmy do gościnnego szewca i przy biesiadnym stole opowiedzieliśmy o swoich wrażeniach ze spaceru po mieście. Po uzyskaniu informacji, że w okolicy Włodawy znajduje się zgrupowanie gen. Kleeberga walczące z Niemcami postanowiliśmy się tam udać następnego dnia. Wczesnym rankiem po serdecznym pożegnaniu się z gospodarzem i jego rodziną wyszliśmy na szosę w kierunku północnym, na której panował duży ruch wojska radzieckiego oraz grupy polskich uchodźców wracających do Warszawy. Późnym wieczorem weszliśmy do rozległej wsi położonej na wzniesieniu, w której przebywały radzieckie oddziały wojskowe. Od tutajszych gospodarzy dowiedzieliśmy się, że na zachód od tej miejscowości znajduje się zgrupowanie wojskowe gen. Kleeberga, walczące od kilku dni z dywizjami niemieckimi. Wojska radzieckie nie włączają się do walki i zajmują pozycję wyczekującą. Spacerując po wsi spotkaliśmy młodszego studenta z Uniwersytetu Jagiellońskiego, studiującego germanistykę, który wracając z Wołynia znalazł się w tej okolicy i ma zamiar jutro przedostać się na tereny zajęte przez Niemców. Nawiązałem z nim koleżeńską rozmowę na temat studiów, ponieważ sam byłem studentem prawa na uniwersytecie w Krakowie. Po znalezieniu noclegu w stodole i przygotowaniu się do snu obserwowaliśmy przez

otwartą bramę czerwoną łunę na horyzoncie i dający się słyszeć huk armat. Mimo zmęczenia nie mogliśmy usnąć, rozmawialiśmy długo o ciężkim położeniu naszej armii, a w szczególności o zgrupowaniu wojskowym walczącym w osamotnieniu z Niemcami w odległości kilkunastu kilometrów od nas, któremu grozi w każdej chwili kapitulacja, zarówno ze strony dywizji niemieckich, jak i sowieckich. Po prawie nieprzespanej nocy opuściliśmy wieś o czwartej rano i polną drogą weszliśmy do lasu, gdzie po przejściu kilkuset metrów natknęliśmy się na konny rekonesans oddziału polskiej kawalerii. Dowódca oddziału zapytał nas, czy nie widzieliśmy w tych stronach Niemców. Wyjaśniłem, że wyszliśmy ze wsi, w której znajdują się wojska rosyjskie, a my chcemy się udać na tereny zajęte przez Niemców. Po przejrzeniu mapy wskoczył na konia i na czele oddziału odjechał w kierunku południowym. My zaś zaczęliśmy kontynuować naszą podróż na zachód. Idąc przez porębę leśną zaczęliśmy spotykać świeże mogiły poległych polskich i niemieckich żołnierzy. Były to usypane małe kopczyki z drewnianymi krzyżami, wykonanymi z gałęzi, na których wisiały polskie i niemieckie hełmy.

Okazało się, że trafiliśmy na świeże pobojuwisko. W kilku miejscach dało się zauważyć ślady ludzkiej krwi. Z leśnej poręby skierowaliśmy się na krętą drogę polną, którą zaczęliśmy schodzić w dolinę do z dala widocznych zabudowań. Nagle zza krzaków wyskoczyło dwóch żołnierzy w niemieckich hełmach z okrzykiem: „Hände hoch”. Podnieśliśmy ręce i na ich znak ręką zbliżyliśmy się do nich. Obaj Niemcy przeprowadzili u nas dokładną rewizję osobistą zabierając mi zegarek ręczny „Cyma”, koledze Łabędzkiemu zegarek kieszonkowy „Omega” i 100 sztuk srebrnych monet pięciozłotowych z wizerunkiem J. Piłsudskiego, a młodemu studentowi scyzoryk i wieczne pióro. Po dokonaniu tej grabieży poprowadzono naszą trójkę przez pola na przełaj do obozu niemieckiego Wehrmachtu, położonego na placu między budynkami gospodarskimi. Pozwolono nam usiąść na murawie pod strażą młodego wartownika. Zauważyłem, że na placu znajdowała się duża grupa polskich żołnierzy wziętych do niewoli i mała grupka mężczyzn w cywilnych ubraniach. Nasz kolega student, znający dobrze język niemiecki, nawiązał rozmowę z pilnującym wartownikiem, że tuż przed wybuchem wojny przebywał w Niemczech w miejscowości Heidelberg na stypendium w tamtejszym uniwersytecie. Młody Niemiec ożywił się i oświadczył, że zna to miasto, które często odwiedzał i po pewnej chwili zaczął nam podrzucać jabłka, obserwując, czy nie widzi tego jego niemiecki zwierzchnik. Około południa podszedł do nas starszy wiekiem niemiecki podoficer i zapytał, czy nie jesteśmy oficerami, czym się zajmujemy, skąd i dokąd udajemy się. Na te pytania odpowiedział biegle mówiący po niemiecku nasz student, wyjaśniając, że jestem urzędnikiem skarbowym, Łabędzki nauczycielem, a on studentem germanistyki na uniwersytecie w Krakowie i chce jak najszybciej tam wrócić. Na dowód, że mówi prawdę okazał swój indeks. Niemiec przejrzał indeks, popatrzył na mnie i Łabędzkiego, i głośno powiedział: „Raus nach Hause” (odejdźcie do domu). Zerwaliśmy się na nogi i bardzo szybko opuściliśmy to czasowe miejsce niewoli niemieckiej. W rozmowie z miejscową ludnością dowiedziałem się, że teren województwa lubelskiego jest obecnie zajmowany przez wojska hitlerowskie. Interesowała mnie miejscowość Kraśnik, gdzie mieszkał i pracował mój brat Michał, u którego chciałem się zatrzymać i razem z nim wrócić w rodzinne strony na ziemię kielecką. Nasz student, którego nazwiska nie zapamiętałem, postanowił rozstać się z nami i wracać do Krakowa trasą przez Zamość i Rzeszów. Z żalem pożegnaliśmy młodego studenta, dzięki któremu zostaliśmy uwolnieni z polowego obozu niemieckiego. Z moim towarzyszem broni Łabędzkiem zdecydowaliśmy udać się do Kraśnika. Po dwóch dniach podróży weszliśmy wieczorem do wsi, gdzie zauważyliśmy kilku stojących żołnierzy niemieckich. Chcąc się zatrzymać na noc w tej wsi, próbowaliśmy dostać się do jednego z domów. Niestety, były zamknięte. Dopiero na nasze natarczywe stukanie do okna jednej z chat wychyliła się głowa kobiety i cichym głosem powiedziała: „Uciekajta panowie

stąd, bo was Niemcy rozstrzelają”. Przejęty tą przestrogą poprosiłem jednak, aby wpuściła nas na krótki odpoczynek. Nie zgodziła się, ponieważ ma chorego męża i cały czas bardzo cierpi. Wówczas wpadłem na pomysł i przedstawiłem się, że jestem lekarzem i postaram się ulżyć cierpieniom męża, ponieważ mam odpowiedni lek, który pomoże choremu. Zawierzyła moim słowom i wpuściła nas do dużej i czystej izby, gdzie na łóżku pod ścianą leżał cierpiący człowiek. Postanowiłem udowodnić żonie chorego, że potrafię usmierzyć bóle męża i sięgnąłem pamięcią do moich zainteresowań w dziedzinie sugestii oraz hipnozy. Zbliżyłem się do chorego i zapewniłem go, że za chwilę ustąpią bóle, ponieważ posiadam odpowiednie lekarstwo. Zacząłem wierzyć w to, co mówię do chorego i poprosiłem o zaparzenie ziółek dziurawca, do którego miałem najwięcej zaufania, ponieważ leczył się nim mój dziadek. Pamiętam, że do zaparzonych ziółek zacząłem na oczach chorego delikatnie sypać odrobinę soli z małego woreczka, który nosiłem w torbie z żywnością, wmawiając cierpiącemu, że jest to lekarstwo usmierzające wszelki ból. Tak przyrządzone ziółka podałem choremu do wypicia, kładąc lewą dłoń na jego czole, a prawą na brzuchu. Jednocześnie zacząłem sugestywnie mówić, że ból powoli ustępuje, staje się mniejszy i za chwilę ustanie. Wykonując te czynności, stwierdziłem, że chory zaczął spać, a ja będąc w nerwowym napięciu poczułem się zmęczony. Siedząca obok gospodyni pocałowała mnie nagle w rękę, dziękując, że chory przestał cierpieć, ponieważ zasnął. Wyjaśniłem, że bóle mogą się powtórzyć i należy koniecznie postarać się o morfinę lub inne środki usmierzające bóle. Minęło już prawie pół godziny od chwili, jak chory zasnął. Uradowana gospodyni poinformowała nas, że dwa dni temu odbyła się w tej okolicy walka Niemców z polskim oddziałem wojskowym, w której poległo kilkunastu niemieckich żołnierzy. Ciała ich zostały pochowane przez tutejszych gospodarzy bez mundurów i butów. Niemcy dowiedziawszy się o tym fakcie zagrozili, że o ile do godziny szóstej rano w dniu jutrzejszym nie zostaną wskazani sprawcy tego pochówku, odbędzie się egzekucja przez rozstrzelanie wszystkich mężczyzn tej wsi. Wspomniała również, że w piwnicy jej domu ukrył się jej kuzyn, który około drugiej godziny nad ranem wybiera się uciec z tej wsi. Niebawem wszedł do izby ukrywający się mężczyzna, z którym po pożegnaniu się z żoną chorego i pod jego przewodnictwem wyszliśmy z domu i poprzez ogrody i na przełaj przez pola udaliśmy się w kierunku Kraśnika, do którego dotarliśmy w godzinach popołudniowych. W Kraśniku rozstałem się ze swoim kolegą Łabędzkim, z którym od 22 września udało się nam razem przebywać po ucieczce z transportu kolejowego oficerów na stacji w Kiwercach. Łabędzki postanowił wyruszyć w kierunku Zawichostu, skąd po przedostaniu się za Wisłę miał udać się w swoje strony rodzinne do Stopnicy. Bez trudności odszukałem mieszkanie brata Michała, które znajdowało się naprzeciw koszar zajmowanych przez pułk ułanów, noszących rogatywki z białym otokiem. Brata zastałem w domu. W pierwszej chwili nie poznał mnie, ponieważ od wielu dni byłem nieogolony i wychudły na twarzy. Przed powitaniem ostrzegłem Michała, aby nie zbliżał się do mnie, gdyż jestem brudny i zawszony. Poprosiłem o wskazanie miejsca, gdzie mógłbym zrzucić zawszoną bieliznę i ubranie. Zaprowadził mnie na strych i tam po rozebraniu się włożyłem przyniesiony przez brata szlafrok, w którym mogłem zejść do jego łazienki. Kąpiel w wannie sprawiła mi dużą przyjemność po przebytej tułaczce. Po nieprzespanej nocy i forsownym marszu ze wsi, w której mogli nas Niemcy rozstrzelać wraz z tamtejszymi mężczyznami, ogarnęło mnie znużenie i senność. Obudziłem się dopiero rano następnego dnia. Przy śniadaniu ustaliliśmy, że razem wybierzemy się do rodziny w Kielcach trasą przez Lublin do Radomia i Skarżysko-Kamienną. Uprowadziłem brata, że przed opuszczeniem Kraśnika muszę się wystarać o jakikolwiek dowód tożsamości. Michał, będąc urzędnikiem Państwowej Fabryki Uzbrojenia w Kraśniku, posiadał dokument stwierdzający jego zatrudnienie w tej instytucji, a ponadto miał legitymację studencką z Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie. Przypatrując się tej legitymacji zauważyliśmy,

że przed imieniem Michał Dobski jest miejsce na wpisanie mojego imienia Józef. Przez dokonanie tej zmiany stałbym się studentem o nazwisku dwójga imion Józef Michał. Nie zastanawiając się dłużej, brat mój, jako zdolny rysownik, wpisał do legitymacji imię Józef tym samym charakterem pisma urzędowego, którym była wypełniona legitymacja. Zamiast fotografii brata wkleiłem swoje zdjęcie znalezione w jego albumie rodzinnym. W ten sposób uzyskałem legitymację studencką na swoje imię i nazwisko, która stała się odtąd moim dowodem tożsamości.

Po dwóch dniach wypoczynku przygotowaliśmy się do dalszej drogi w kierunku Kielc. Będąc pozbawiony zniszczonego i zawszonego ubrania, które zdjąłem w dniu przybycia do Kraśnika, ubrałem się w nowe ubrania brata i wyszliśmy przed południem na szosę prowadzącą do Lublina. W połowie drogi udało się nam dojechać na przedmieście miasta wiejskim wozem konnym. Był już wieczór, jak weszliśmy na ulice Lublina. Wszędzie było widać spacerujących żołnierzy niemieckich. Szukając lokalu, gdzie chcieliśmy się napić herbaty, zapytałem jednego z przechodniów o restaurację lub bar. Wskazał na boczną słabo oświetloną uliczkę. Po przejściu około stu metrów drogi zastąpiło nam drogę dwóch wojskowych, należących do formacji SS i pod groźbą rewolwerów wprowadzili nas przez bramę na podwórze i przy obudowanym śmietniku, gdzie leżało martwych dwóch Żydów w czarnych chałatach. Jeden z Niemców oświadczył, że o tej porze zabronione jest chodzenie Żydom po mieście. Wyjaśniłem młodemu Niemcom, że jesteśmy Polakami i nie pochodzimy z Lublina, lecz wracamy ze strefy sowieckiej do rodziny w Kielcach. Jednocześnie okazaliśmy moją legitymację studencką, wydaną przez Katolicki Uniwersytet w Lublinie na moje nazwisko, i legitymację brata zatrudnionego w Państwowym Zakładzie Uzbrojenia w Kraśniku. Powtarzając „Katholische Universität in Lublin” oddali nam dowody tożsamości i pozwolili odejść. Oddaliśmy się szybko na ruchliwą ulicę miasta, jak najdalej od miejsca spotkania z bojówką SS. Odetchnęliśmy z ulgą, gdy uświadomiliśmy sobie, że mogliśmy stracić życie z ręki młodych esesmanów, którzy już rozpoczęli likwidację Żydów pod pretekstem zakazu opuszczania mieszkań w porze nocnej. Zdenerwowani tym spotkaniem, które mogło się skończyć dla nas tragicznie, udaliśmy się na dworzec kolejowy, aby tam przenocować w tłumie podróżnych. Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że wszyscy Polacy wracający ze wschodnich terenów Polski mogą przejść przez most na Wiśle pod Puławami pod warunkiem okazania odpowiednich zaświadczeń, wydanych przez władze niemieckie w Puławach po przedstawieniu dowodu osobistego. Postanowiliśmy wyjechać pociągiem do Puław w dniu 7 października, aby w dniu następnym zgłosić się w niemieckiej komendaturze. Po okazaniu naszych dowodów i oświadczeniu, że nie byliśmy w wojsku otrzymaliśmy zaświadczenia, upoważniające do przekroczenia mostu na Wiśle, tak zwane po niemiecku Ausweisy. Wraz z grupą osób udających się w przeważającej większości do stolicy, przeszliśmy przez most obsadzony dużą ilością żołnierzy niemieckich. Dołączyliśmy do kilku osób pochodzących z Radomia i razem przez Zwolen przybyliśmy na dworzec kolejowy w Radomiu. Po południu udało nam się wejść do pociągu osobowo-towarowego jadącego do Skarżyska-Kamiennej, gdzie znowu musieliśmy czekać na pociąg w stronę Kielc. Po nocy spędzonej w poczekalni dworcowej doczekaliśmy się podstawienia pociągu towarowego do Kielc, do którego dzięki uprzejmości polskich kolejarzy wsiedliśmy do jednego z wagonów. Pociąg nie dojechał do Kielc, lecz zatrzymał się w Tumlinie, skąd postanowiliśmy udać się piechotą do śródmieścia Kielc. Radość z powodu szczęśliwego powrotu do mojego ukochanego miasta szybko minęła, kiedy przeczytałem ogłoszenie niemieckie „Bekantmachung” o meldowaniu się wszystkich polskich oficerów w Urzędzie Miasta, a kto nie spełni tego obowiązku będzie podlegał karze śmierci.

Nie pamiętam dokładnie, który był to dzień szczęśliwego powrotu do Kielc w pierwszych dniach października 1939 roku. Mama i babcia przywitały nas serdecznie, płacząc z radości. W tym samym dniu wybrałem się do żony, mieszkającej u swoich rodziców, gdzie również gorąco mnie przywitano.

Postłowie

W okresie od października 1939 roku do 15 stycznia 1945 r. działałem w ZWZ-AK i w Szarych Szeregach na terenie Kielecczyzny. Działalność ta została opublikowana w następujących wydawnictwach:

– *Szare Szeregi w akcji „N”*, red. H. Auderska, Z. Ziółek, „Czytelnik”, Warszawa 1974, s. 559–562,

– *Harcerze Kielecczyzny w latach wojny i okupacji 1939–1945*, „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1980, nr 4, s. 127–159,

– *Jodła-Okręg Radomsko-Kielecki ZWZ-AK*, Instytut Wydawniczy „Pax”, Warszawa 1984, s. 75, 94–95,

– *Pogotowie Harcerskie w Kielcach w 1939 r.*, „Harcerstwo” 1984, nr 2,

– *Na kieleckich szlakach w: Szare Szeregi. Harcerze 1939–1945*, t. 3, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1988, s. 68–111.

W 1985 r. przygotowałem do druku monografię historyczną pod tytułem *Harcerstwo Kielecczyzny w walce o niepodległość Polski w latach 1912–1945*, która do obecnej chwili nie została wydana. Zawiera ona wiele cennych materiałów historycznych o walce skautów i harcerzy w pierwszej wojnie światowej, w wojnie z bolszewikami w 1920 i 1921 r. oraz w czasie okupacji niemieckiej w latach 1939–1945 r.

Harc mistrz Józef Dobski

Urodził się 8 lutego 1911 r. w Wąchocku. Po ukończeniu szkoły powszechnej kontynuował naukę w Prywatnym Gimnazjum W. Chrzanowskiego w Wąchocku. W 1924 r. wstąpił do drużyny i złożył przyrzeczenie harcerskie. W 1926 r. wraz z rodziną przeprowadził się do Kielc i tu rozpoczął naukę w drugiej klasie gimnazjum im. J. Śniadeckiego. Wstąpił wówczas do znanej 1. Kieleckiej Drużyny Harcerzy im. Dionizego Czachowskiego i brał aktywny udział w jej pracach. W 1931 r. przeniósł się do gimnazjum im. M. Reja w Kielcach i rozpoczął działalność w 2. KDH im. gen. J. H. Dąbrowskiego, w której pełnił funkcje harcerskie do drużynowego włącznie. Po odbyciu służby wojskowej w Szkole Podchorążych Rezerwy Piechoty w Zambrowie powrócił do Kielc. Został członkiem Komendy Chorągwi Harcerzy, która oddelegowała go do Zarządu Okręgu ZHP w Kielcach. W latach 1936–1939 pełnił w nim funkcję sekretarza. Jednocześnie studiował na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz na Wydziale Nauk Społeczno-Ekonomicznych Uniwersytetu Katolickiego w Lublinie.

W czerwcu 1939 r. Naczelnik Harcerzy mianował go zastępcą komendanta Pogotowia Wojennego w Chorągwi Harcerzy w Kielcach. Jako podporucznik Wojska Polskiego brał udział w kampanii wrześniowej. Dostał się do niewoli. Był wieziony przez Rosjan na Wschód. Zbiegł na stacji kolejowej w Kiwercach. Koledzy, z którymi jechał w jednym przedziale, zostali zamordowani w Katyniu. Po powrocie do Kielc w październiku 1939 r. wstąpił do organizacji wojskowej Służba Zwycięstwu Polski, następnie ZWZ i AK. Pracował w wywiadzie AK. W konspiracji wojskowej nosił pseudonimy: „Jesionowski”, „Sław” i „Chmielowiec”. W 1941 r. został zastępcą komendanta konspiracyjnej Chorągwi Harcerzy w Kielcach, która nosiła kryptonim Ul „Skala”. Od 1942 r. pełnił funkcję komendanta Ula „Skala”. W Szarych Szeregach nosił pseudonimy: „Maryśka”, „Szary Kret” i „Krysia”. Przeprowadził udane akcje dywersyjno-sabotażowe, uratował ważne dokumenty konspiracyjne i radiostację AK. Pod jego komendą drużyny i roje /

hufce / Szarych Szeregów uczestniczyły w akcji „N”, sabotażu, łączności, wywiadzie. 27 grudnia 1943 r. został mianowany harcmistrzem. W okresie akcji „Burza” w 1944 r. przekazał do oddziałów partyzanckich AK przeszkolonych harcerzy z Grup Szturmowych. Ul „Skała” należał do wyróżnionych w Szarych Szeregach.

Po zakończeniu działań wojennych w marcu 1945 r. podjął pracę w Zarządzie Miejskim w Kielcach na stanowisku kierownika Wydziału Wojskowego. Ponieważ w Kielcach ze względu na działalność akowską i szaroszeregową, groziło mu niebezpieczeństwo ze strony sił, które doszły w Polsce do władzy, w czerwcu 1945 r. wyjechał na Dolny Śląsk. Zamieszkał w Jeleniej Górze. Tam podjął pracę w Wytwórni Win „Sobieskiego”, a następnie w Kombinacie Przetwórstwa Winiarskiego. W 1950 r. przeprowadził się do Wrocławia, gdzie pracował w Zarządzie Przemysłu Fermentacyjnego i Spółdzielczości Pracy jako kierownik i główny specjalista do spraw inwestycji.

W 1945 r. wraz z podharc mistrzem Marianem Stolarczykiem zorganizował pierwszą na Dolnym Śląsku Chorągiew Harcerzy z siedzibą w Jeleniej Górze. Do 1948 r. pełnił w niej funkcję zastępcy komendanta chorągwi. Był współzałożycielem Ligi Morskiej, obejmującej obszar byłego województwa dolnośląskiego. W latach 1946–1948 był sekretarzem okręgu tej organizacji.

Po utworzeniu w Kielcach w 1980 r. przy Komendzie Chorągwi ZHP Kręgu Instruktorskiego „Łysica”, skupiającego najstarszych instruktorów harcerskich, włączył się do jego prac. We Wrocławiu powołał Krąg „Łysica-Panorama”. Pełnił także funkcję Przewodniczącego Rady Kręgów „Łysica” w Chorągwi Kieleckiej. Należał do Stowarzyszenia Szarych Szeregów i Żołnierzy Armii Krajowej.

Uczestniczył w pracach Komisji Historycznej Kieleckiej Komendy Chorągwi im. Stefana Żeromskiego. Był autorem wielu prac mających duże znaczenie w poznaniu dziejów ruchu harcerskiego na Ziemi Kieleckiej i na Dolnym Śląsku.

Był odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych, Krzyżem „Za Zasługi dla ZHP”, Złotym Krzyżem „Za Zasługi dla ZHP” z Rozetą z Mieczami, odznaką „Za Zasługi dla Kielecczyzny”.

Zmarł 30 sierpnia 1992 r. Został pochowany, z honorami wojskowymi i harcerskimi, na cmentarzu parafialnym przy ulicy Smutnej we Wrocławiu w kwaterze Armii Krajowej.

Bibliografia

Matwin Włodzimierz, *Józef Dobski*, w: *Jedynka. 1 Kielecka Drużyna Harcerska im. Dionizego Czachowskiego 1912–1982*, Kielce 1986, s. 120–122

Andrzej Rembalski, *Dobski Józef*, w: *Harcerski Słownik Biograficzny*, t. I, red. Janusz Wojtycza, Warszawa 2006, s. 35–37.

Andrzej Rembalski, *Dobski Józef*, w: *Harcerski Słownik Biograficzny Kielecczyzny*, red. A. Rembalski, Kielce 2012, s. 83–86.

Andrzej Rembalski

Józef Dobski, Diary of 1939 **Ed. Andrzej Rembalski**

He was born on February 8, 1911 in Wąchock. In 1924 he joined the troop and he took the scout's oath. In 1926 he moved to Kielce with his family and joined the First Kielce Scout Troop named after Dionizy Czachowski, which was well-known at that time, and took an active part in its work. After completing his military service in the Officer Cadets of Infantry Reserve School in Zambrów, he returned to Kielce. He became a member of the Polish Scouts Headquarters. He studied at the Faculty of Law at the Jagiellonian University and Faculty of Socioeconomic Sciences at the Catholic University of Lublin. As a second lieutenant of the Polish Army he participated in the September Campaign. He was taken prisoner by Russians but he escaped. On his return to Kielce in October 1939 he joined a military organization called the Service for Poland's Victory, then the Union of Armed Struggle and the Home Army. He worked in the intelligence of the Home Army. In the military underground his pseudonyms were: 'Jesionowski', 'Sław' and 'Chmielowiec'. From 1941 he managed actions of Kielce Gray Ranks. In 1945 he went to Lower Silesia and together with Sub-Scoutmaster Marian Stolarczyk he organised the first Polish Scouts Headquarters in Jelenia Góra. After creating the Instruction Circle 'Łysica' in 1980 in Kielce at the Polish Scouting and Guiding Association Headquarters gathering the oldest scout instructors, he joined its works. He died on August 30, 1992. He was buried with military and scout honours on the parish graveyard at Smutna Street in Wrocław in the section of the Home Army.